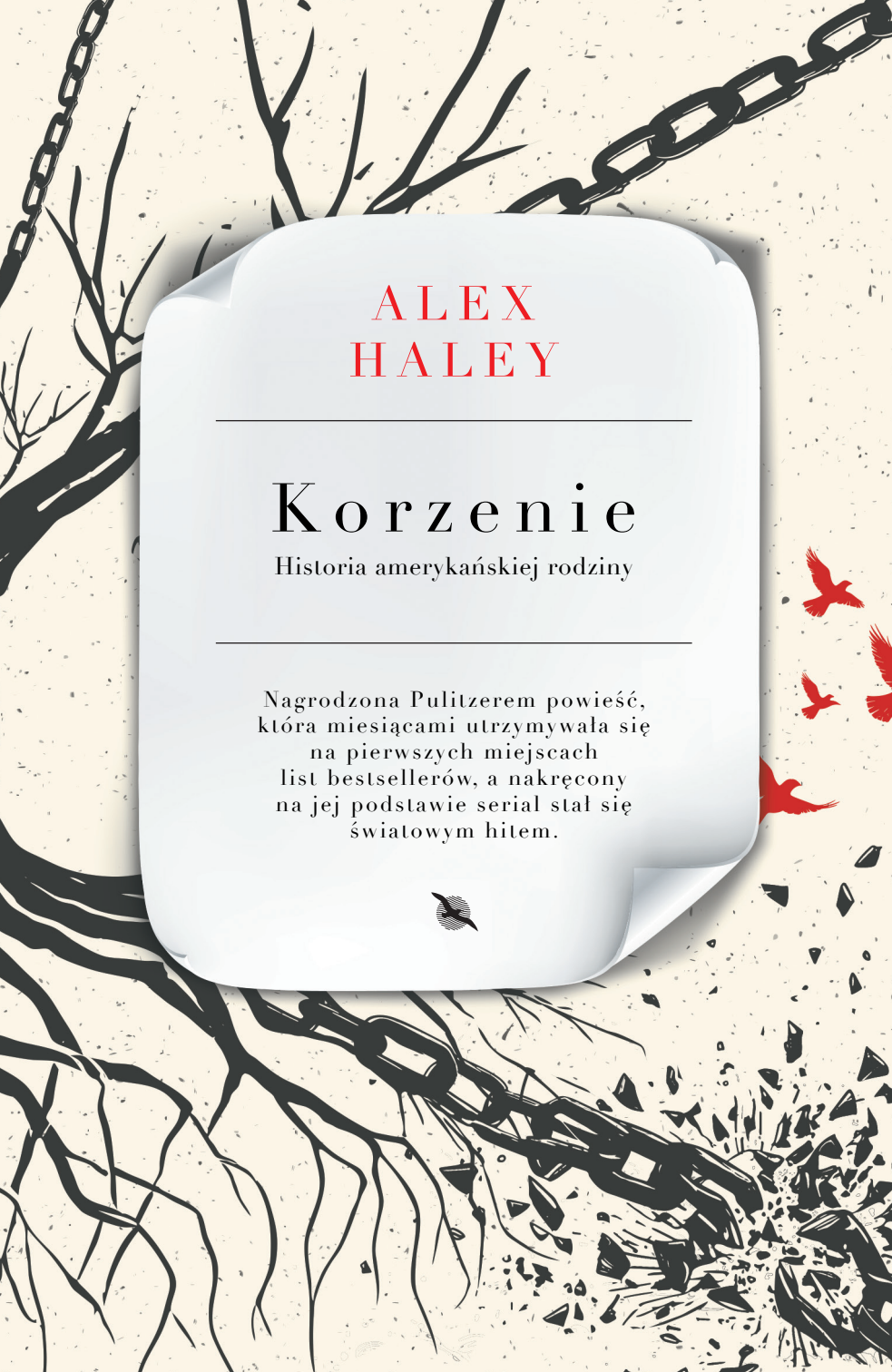




ALEX
HALEY

Korzenie

Historia amerykańskiej rodziny

Nagrodzona Pulitzerem powieść,
która miesiącami utrzymywała się
na pierwszych miejscach
list bestsellerów, a nakręcony
na jej podstawie serial stał się
światowym hitem.



Tytuł oryginału:
ROOTS

Copyright © Alex Haley 1974
Copyright renewed 2004 by Myran Haley, Cynthia Haley,
Lydia Haley and William Haley
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024

Polish translation copyright © Blanka Kuczborska 1982

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Ilustracje na okładce: GG Digital Arts (*korzenie*);
GreatWork/Freeplik (*łańcuchy i ptaki*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wczesną wiosną 1750 roku w wiosce Juffure, oddalonej o cztery dni drogi w górę rzeki od wybrzeża Gambii w Afryce Zachodniej, małżeństwu Omoro i Bincie Kinte urodził się syn. Wyszedł na świat z silnego młodego ciała Binty, równie czarny jak ona, zakrwawiony i śliski, i wrzeszczał wniebogłosy. Dwie pomarszczone położne, stara Njo Boto i babka noworodka, Jaisa, zobaczywszy, że to chłopiec, roześmiały się radośnie. Zgodnie z tradycją, gdy jako pierwszy rodzi się syn, zwiastuje to szczególną przychyłność Allaha nie tylko wobec rodziców dziecka, ale też wobec całych ich rodzin, a do tego dochodziła jeszcze pełna dumy świadomość, że nazwisko Kinte ma już dziedzica.

Chłopiec urodził się tuż przed pianiem kogutów, toteż pierwszym dźwiękiem, jaki usłyszał oprócz głosów Njo Boto i babci Jaisy, był przytłumiony rytmiczny stukot drewnianych tłuczków, którymi kobiety z wioski miażdżyły w glinianych moździerzach ziarna pszenicy na kuskus, przygotowując tradycyjne śniadanie, czyli kaszę gotowaną następnie w glinianych naczyniach na ognisku rozpalonym między trzema kamieniami.

W powietrze unosiła się spiralnie cienka, sina wstążeczka i po całej wiosce, złożonej z okrągłych lepiarek, rozchodził się przyjemny ostry zapach dymu, kiedy rozbrzmiały nosowe nawoływania Kadżali Demby, miejscowego alimamo, wzywającego mężczyzn na pierwszą z pięciu modlitw, które – odkąd najstarsi ludzie pamiętali – odmawiano co dzień ku czci Allaha. Zerwawszy się pospiesznie z bambusowych łóżek okrytych skórą, mężczyźni narzucili na siebie szorstkie bawełniane ubiory i podążyli na miejsce modlitwy,

gdzie alimamo zaintonował: „Allah Akbar! Aszadu an lailahailala!” (Bóg jest wielki! Daję świadectwo prawdzie, że nie ma Boga prócz Allaha!). Dopiero potem, kiedy mężczyźni wracali do swoich zagród na śniadanie, promieniejący dumą Omoro powiedział im o narodzinach pierworodnego. Wśród gratulacji wszyscy powtarzali, że chłopiec to dobry znak, wróżący szczęście i pomyślność.

W chacie każdy z mężczyzn dostał z rąk żony kalebasę kuskusu. Później kobiety wróciły do kuchni na tyłach zagród, żeby nakarmić dzieci i na końcu same się pożywić. Po śniadaniu mężczyźni wzięli krótkie motyki z zagiętym trzonkiem i drewnianym ostrzem, pokrytym metalem przez miejscowego kowala, i wyruszyli na cały dzień do pracy w polu; musieli przygotować glebę pod zasiew orzeszków ziemnych, pszenicy na kuskus i bawełny, których uprawa w tym gorącym, bujnym kraju sawanny – Gambii – należała głównie do mężczyzn, podobnie jak uprawa ryżu do kobiet.

Pradawnym zwyczajem następne siedem dni Omoro poświęcił jednej tylko sprawie: wybraniu imienia dla pierworodnego syna. Musiało to być imię z bogatą tradycją, niosące ze sobą obietnicę na przyszłość, gdyż jego pobratymcy z plemienia Mandinków wierzyli, że wraz z imieniem dziecko dziedziczy siedem cech jego dawcy.

W ciągu tego tygodnia Omoro odwiedził wszystkie obojścia w Juffure i w imieniu swoim oraz Binty zaprosił każdą rodzinę z osobna na uroczystość nadania dziecku imienia, która odbywała się zawsze ósmego dnia życia niemowlęcia. Tego dnia, tak jak poprzednio jego ojciec i ojciec ojca, syn Omoro stanie się członkiem plemienia.

Kiedy nadszedł ósmy dzień, mieszkańcy wioski zebrali się wczesnym rankiem przed chatą Omoro i Binty. Kobiety z obu rodzin przyniosły na głowach kalebasy kwaśnego mleka i słodkie ryżowe placki z miodem. Wśród gości obecni byli wioskowy dżaliba Karamo Silla, alimamo i arafang – Brima Kesaj, który miał z czasem zostać nauczycielem chłopca. Na uroczystość przybyli z daleka dwaj bracia Omoro, Dżanneh i Salum, ponieważ także do nich dotarła niesiona przez tam-tamy wieść o narodzinach bratanka.

Niemowlęciu, które Binta z dumą trzymała w ramionach, wygolono na główce kółeczko w pierwszych dziecinnych włoskach

– jak robiono to zawsze w tym dniu – a zgromadzone kobiety z okrzykami zachwyty wychwalały urodę dziecka. Później, gdy wszyscy umilkli, dżaliba zaczął bić w bębny. Alimamo nad kalebasami z kwaśnym mlekiem i plackami odmówił modlitwę, w trakcie której każdy z gości prawą dłonią dotknął brzegu naczynia na znak czci należnej pożywieniu. Następnie alimamo odprawił modły nad niemowlęciem; błagał Allaha, żeby dał mu długie życie, jego rodzinie, wiosce i całemu plemieniu, których oby był dumą i chlubą, wiele dzieci, a jemu siłę ducha i ciała, dzięki którym zasłuży na imię, jakie ma otrzymać i w przyszłości okryć chwałą.

Potem przed zgromadzony tłum wystąpił Omoro. Podeszedł do żony, wziął syna na ręce i na oczach wszystkich trzy razy wyszeptał mu do ucha imię, które dla niego wybrał. Jako imię jego syna zostało wypowiedziane po raz pierwszy, gdyż współplemieńcy Omoro uważali, że każdy człowiek powinien pierwszy się dowiedzieć, jak się nazywa.

Znów zabrzmiały tam-tamy i Omoro wyszeptał imię do ucha Binty; jej twarz rozjaśniła się z radości i dumy. Następnie powiedział je cicho arafangowi i ten stanął przed mieszkańcami wioski.

– Pierworodny syn Omoro i Binty Kinte otrzymał imię Kunta! – zawołał Brima Kesaj.

Jak wszyscy wiedzieli, było to drugie imię nieżyjącego już dziadka chłopca, Kairaby Kuntę Kinte, który przywędrował do Gambii z rodzinnej Mauretanii, w okresie suszy uratował mieszkańców Juffure od śmierci, a później ożenił się z babcią Jaisą i jako święty wiernie służył wiosce do końca swoich dni.

Arafang wymienił jednego po drugim licznych mauretańskich przodków chłopca, o których jego dziadek Kairaba Kinte często wspominał. Te słynne imiona sięgały wstecz aż do ponad dwustu pór deszczowych. Gdy dżaliba znów uderzył w bębny, wszyscy głośno dali wyraz podziwu i szacunku dla tak znamienitego rodowodu.

Później, nocą, sam na sam z synem, mając za świadków jedynie gwiazdy i księżyc, Omoro dopełnił rytuału ósmego dnia. Poszedł z małym Kuntą w ramionach na skraj wioski, obrócił niemowlę twarzą ku niebu i powiedział cicho: *Fend kiling dorong leh warrata ka iteh tee*. (Spójrz – oto jedyna rzecz większa niż ty sam).

ROZDZIAŁ DRUGI

Była pora siewów i wkrótce miały nadejść pierwsze deszcze. Mężczyźni ustawili na polach wysokie sterty suchego zielska i podpalili je, żeby roznoszony przez wiatr popiół użyźnił glebę. Kobiety natomiast rozpoczęły już obsadzanie ryżowych pól zielonymi pędami.

Kiedy Binta powracała do sił po urodzeniu dziecka, jej poletkiem zajmowała się babcia Jaisa, ale teraz młoda matka była już gotowa do podjęcia codziennych obowiązków. Z Kuntą, przewieszonym w płócienną chuście przez plecy, szła w gromadzie kobiet, jak one niosąc na głowie tobołek. Niektóre z nich, na przykład jej przyjaciółka, Džankaj Turaj, również niosły na plecach małe dzieci. Kobiety szły nad płynący w pobliżu wioski bolong – jedną z wielu odchodzących w głąb lądu krętych odnóg rzeki Gambii, zwaną tu Kamby Bolongo. Wsiadły po kilka do wydrążonych z pni czołen i popłynęły w dół rzeki, posługując się krótkimi wiosłami o szerokich piórach. Binta przy każdym nachyleniu czuła na plecach ciepły, miękki ciężar niemowlęcia.

Powietrze było przesycone mocną piżmową wonią namorzynów oraz innych krzewów i drzew tropikalnych, które rosły gęsto po obu stronach bolongu. Wyrwane ze snu i spłoszone przepływającym czołnem ogromne rodziny pawianów zaczynały wrzeszczeć, skakać i potrząsać liśćmi palm. Dziki z głośnym chrząkaniem uciekały między trawy i krzaki w poszukiwaniu kryjówek. Tysiące pelikanów, żurawi, czapli, bocianów i mew, pokrywających muliste brzegi bolongu, przerwały śniadanie i patrzyły niespokojnie

na mijające je pirogi. Mniejsze ptaki – grzywacze, brzytwodzioby, derkacze czy zimorodki – wzbiły się w powietrze i krążyły wokół, wydając przenikliwe piski, dopóki nieproszeni goście się nie wynieśli.

Kiedy czołna sunęły po pomarszczonej, falistej powierzchni wody, podpływały do nich ławice rybek i po wykonaniu srebrzystego tańca przy burcie z pluskiem ginęły w odmętach. Czasem ścigały je wielkie krwiożercze ryby, tak zjadłe, że zdarzało im się wpadać wprost na czołna – wtedy kobiety ogłuszały je uderzeniem wiosła i zabierały ze sobą, żeby mieć smaczną kolację. Ale tego ranka rybki pływały wokół nich przez nikogo nienapastowane.

Kręty bolong zaprowadził wiosłujące kobiety do ujścia innej – szerszej – odnogi, gdzie na ich widok powietrze wypełniło się głośnym biciem skrzydeł i niebo pokrył ogromny żywy dywan złożony z setek tysięcy dzikich ptaków we wszystkich kolorach tęczy. Na pociemniałą i wzburzoną powierzchnię wody spadł deszcz różnobarwnych piór.

Zbliżając się do błotnistego faro, gdzie całe pokolenia kobiet z Juffure uprawiały ryż, czołna musiały przepłynąć przez chmary moskitów, a potem, jedno po drugim, przybiły do ścieżki z udeptanych wodorostów. Wodorosty zaznaczały również granice między poletkami, na których zielonoszmaragdowe pędy młodego ryżu wystawały już sporo nad powierzchnię wody.

Ponieważ wielkość pola była co roku wyznaczana każdej kobiecie przez radę starszych, która brała pod uwagę liczbę osób w danej rodzinie, poletko Binty było jeszcze bardzo małe. Starając się zachować równowagę, wyszła z niemowlęciem z czołna, zrobiła kilka kroków i nagle stanęła jak wryta, ze zdziwieniem i zachwytem patrząc na pokrytą strzechą bambusową budkę na palach. Kiedy leżała w połogu, Omoro przyplłynął tu i zbudował schronienie dla ich synka, przy czym, co typowe dla mężczyzn, nie wspomniał o tym ani słowem.

Nakarmiła niemowlę, ułożyła je w budce i przebrawszy się w strój roboczy, który przyniosła w tobołku na głowie, zabrała się do roboty. Brodząc w wodzie zgięta wpół, wyrwała korzenie młodych chwastów, które, nieplewione, zarosłyby wkrótce całe poletko. Ilekroć Kunta zapłakał, wychodziła, ociekając wodą, na brzeg, żeby go nakarmić.

I tak, dzień po dniu, mały Kunta rósł, pływając się w ciepłe matczynej miłości. Po powrocie do chaty i po ugotowaniu kolacji dla męża Binta zmiękczała skórę niemowlęcia, nacierając go od stóp do głów masłem z orzechów shea, a później najczęściej niosła syna dumnie przez wieś do chaty babki Jaisy. Ta obsypywała chłopca nową porcją pocałunków i pieszczot, po czym obie doprowadzały go do gniewnego kwilenia, systematycznie ugniatając mu główkę, nos, uszy i wargi, żeby nadać im właściwy kształt.

Czasem Omoro zabierał syna kobietom i niósł zawiniątko do swojej chaty – żony i mężowie zawsze mieszkali osobno – gdzie oczy i palce dziecka mogły do woli badać tak ponętne przedmioty, jak na przykład wiszący u wezglowia posłania amulet, który miał odstraszać złe duchy. Wszystko, co barwne, przyciągało uwagę małego Kunty, a szczególnie skórzana torba myśliwska ojca, cała pokryta muszelkami – każda na pamiątkę jednego zwierzęcia osobiście upolowanego przez Omoro i dostarczonego wsi na pożywienie. Kuntę interesował również duży zagięty łuk i wiszący obok niego kołczan ze strzałami. Omoro uśmiechał się z rozrzewnieniem, patrząc, jak mała rączka sięga w górę i chwyta długą, ciemną dzidę, którą tyle razy się posługiwał, że jej drzewce lśniło jak wypolerowane. Pozwalał Kuncie dotykać wszystkiego oprócz dywanika do modlitwy, gdyż ten przeznaczony był tylko dla niego. Podczas tych chwil spędzanych sam na sam z synem Omoro opowiadał mu, jakich to wielkich i bohaterskich czynów Kunta dokona, kiedy dorośnie.

W końcu, gdy nadchodziła pora następnego karmienia, odnosił chłopca do chaty matki. Dni płynęły Kuncie spokojnie i szczęśliwie; zasypiał bezpiecznie w ramionach Binty lub na jej posłaniu przy słowach śpiewanej przez nią kołysanki:

*Synku mój uśmiechnięty,
Przodka sławnego nosisz imię.
Nadejdzie dzień,
Kiedy myśliwym wielkim
Lub wojownikiem odważnym zostaniesz
I serce ojca napelni się dumą.
Ale ja zawsze będę cię pamiętać
Takiego jak dziś.*

Chociaż Binta gorąco kochała synka, była jednak bardzo niepokojna, gdyż pradawnym zwyczajem muzułmanie często żenili się ponownie w okresie, kiedy pierwsze żony karmiły dziecko piersią. Wprawdzie Omoro dotychczas nie wziął sobie drugiej żony, ale Binta wołała, żeby nie był narażony na pokusy, uważała więc, że im szybciej mały Kunta zacznie chodzić, tym lepiej, wtedy bowiem będzie mogła odstawić go od piersi.

Kiedy zatem Kunta, mając mniej więcej trzynaście miesięcy, zaczął stawiać pierwsze niepewne kroki, matka chętnie mu w tym pomagała. I już wkrótce chodził o własnych siłach, obywając się bez jej pomocnej ręki. Ulga Binty równa była dumie, jaką czuł Omoro, i od tego czasu, gdy chłopiec poczuł głód, zamiast piersi dostawał żartobliwego klapsa i krowie mleko w naczyniu z tykwy.

ROZDZIAŁ TRZECI

Minęły trzy pory deszczowe. Wioska przeżywała trudny okres, ponieważ skończyły się zapasy zboża i żywności pochodzącej z ostatnich zbiorów. Mężczyźni polowali, ale łup, z jakim wracali, był mizerny: ot, kilka małych antylop i gazeli oraz jakieś opieszałe dzikie ptaki złapane w krzakach, palące słońce zamieniło bowiem większość wodopojów na sawannie w wyschnięte bajora i grubsza zwierzyna przeniosła się w głąb lasów właśnie w tym czasie, kiedy ludzie z Juffure musieli zebrać wszystkie siły do nadchodzących siewów. Kobiety dodawały do posiłków z ryżu i kuskusu pozbawione smaku nasiona bambusa i niesmaczne suche liście baobabu. Dni głodu nadeszły w tym roku tak wcześnie, że złożono w ofierze pięć kóz i dwa woły – więcej niż zesłym razem – na poparcie żarliwych modłów zanoszonych do Allaha o uchronienie wioski przed klęską głodu.

W końcu jednak niebo pokryły chmury, lekkie podmuchy zamieniły się w orzeźwiający wietrzyk i – jak zwykle bez uprzedzenia – spadły przelotne ciepłe deszcze. Rolnicy żłobili w spulchnionej ziemi długie, wąskie rowki, gotowe na przyjęcie ziarna, ponieważ wiadomo było, że siewy trzeba zakończyć przed nadejściem ulewnych deszczów.

Przez następnych kilka dni żony rolników, ubrane w tradycyjny strój urodzaju – duże liście mające symbolizować zieleni wschodzących roślin – zamiast płynąć po śniadaniu na poletka ryżowe, wychodziły na przygotowane przez mężczyzn pola. Już z daleka słychać było ich śpiewne głosy, wznoszące tradycyjne modły o to, by pszenica na kuskus, orzeszki ziemne i inne nasiona, które niosły

w glinianych misach na głowach, zapuściły korzenie głęboko w ziemi i dobrze rosły.

Równym krokiem kobiety trzykrotnie bosobobchodziły gęsiego pola, przez cały czas śpiewając. Później każda szła za mężczyzną wzdłuż przygotowanych rowków; ten co kilka centymetrów robił dołek dużym palcem u nogi, a kobieta wkładała w niego ziarenko i przyklepywała je swoim dużym palcem. Kobiety pracowały ciężiej od mężczyzn, gdyż poza wspólnymi zajęciami musiały się jeszcze zajmować poletkami ryżowymi i ogródkami warzywnymi przy chatach.

Kiedy Binta była zajęta uprawianiem cebuli, pochrzynu, dyń, manioku i gorzkich pomidorów, mały Kunta przez cały dzień dokazywał pod bacznyim okiem kilku starszych kobiet. Te opiekowały się wszystkimi dziećmi z Juffure należącymi do pierwszego kafo, czyli tymi, które nie przeżyły jeszcze pięciu pór deszczowych. Dziewczynki i chłopcy biegali po okolicy nadzy i swobodni jak młode zwierzęta; część z nich dopiero zaczynała wymawiać pierwsze słowa. Wszyscy, jak Kunta, rośli szybko wśród śmiechów i pisków, towarzyszącym ich dziecięcym zabawom: w chowanego, gonitwom wokół ogromnego pnia baobabu, płoszeniu psów i kur, aż te uciekały pędem niczym kłębki piór i sierści.

Ale wszystkie dzieci – nawet tak małe jak Kunta – natychmiast gromadziły się i siadały w ciszy i skupieniu, kiedy któraś babcia obiecała opowiedzieć im bajkę. Kunta wprawdzie nie rozumiał jeszcze wielu słów, lecz patrzył uważnie, jak stara kobieta ilustruje bajkę takimi gestami i dźwiękami, że wszystko wydawało się rozgrywać przed oczami malców.

Mimo młodego wieku znał już kilka bajek, które opowiadała mu babcia Jaisa, kiedy ją odwiedzał. Podobnie jak inne dzieci z pierwszego kafo, czuł jednak, że najlepiej opowiada je ukochana, tajemnicza stara Njo Boto. Łysa, pomarszczona, czarna jak spód osmalonego garnka, z długim żdźbłem trawy sterczącym niczym czulek owada spomiędzy resztek zębów – zabarwionych niezliczonymi ilościami orzeszków kola na kolor ciemnopomarańczowy – zrzędząc i posapując, sadowiła się na swoim niskim stołeczku. Chociaż była burkliwa i szorstka, dzieci wiedziały, że kocha je wszystkie jak własne i za takie je zresztą uważała.

Kiedy już otoczyły ją kołem, zaczynała chrapliwie:

– Opowiem wam bajkę...
– Prosimy! – odpowiadały chórem, wierząc się z niecierpliwo-
ści.

I Njo Boto zaczynała opowiadać w sposób, w jaki zaczynały się wszystkie mandinkejskie bajki:

– Pewnego razu w pewnej wiosce żył sobie pewien...

Tym razem był to mały chłopiec – miał mniej więcej tyle pór deszczowych co oni – który poszedł nad rzekę i znalazł tam krokodyla zaplątanego w sieci.

„Pomóż mi!”, poprosił go krokodyl.

„Zabijesz mnie”, powiedział chłopiec.

„Nie! – obiecał krokodyl. – Tylko do mnie podejdź”.

Chłopiec podszedł do krokodyla... i ten natychmiast chwycił go w długą, pełną zębów paszczę.

„To tak mi się odpłacasz za moją dobroć?”, poskarżył się chłopiec.

„Oczywiście – odparł kątem pyska krokodyl. – Tak się zawsze dzieje na świecie”.

Ale chłopiec nie chciał w to uwierzyć, więc krokodyl zgodził się, zanim go połknie, zasięgnąć opinii trzech świadków, którzy będą tędy przechodzić. Najpierw nadszedł staruszek osioł.

Chłopiec zapytał go o zdanie, a osioł odrzekł:

„Teraz, kiedy jestem już stary i nie mogę pracować, mój pan wyrzucił mnie z zagrody lampartom na pożarcie”.

„Widzisz?”, triumfował krokodyl.

Następnie przechodził nad rzeką stary koń i był podobnego zdania co osioł.

„Widzisz?”, ucieszył się znów krokodyl.

W końcu zbliżył się do nich tłusty królik.

„No cóż, nie mogę wydać opinii, dopóki się nie dowiem, jak się to wszystko działo od początku”, powiedział.

Krokodyl, niezadowolony z takiego obrotu sprawy, otworzył paszczę, żeby mu wszystko opowiedzieć... i chłopiec wyskoczył na brzeg, gdzie już nic mu nie groziło.

„Czy lubisz krokodyle mięso?”, zapytał go królik.

Chłopiec powiedział, że tak.

„A czy twoi rodzice lubią?”

Znów odparł, że tak.

„Wobec tego macie tu krokodyla jak znalazł”, powiedział królik.

Chłopiec pobiegł, wrócił z mężczyznami ze swojej wioski i ci pomogli mu zabić krokodyla. Ale pies wuolo, który przyszedł z nimi nad rzekę, wytropił i zabił królika.

– A więc krokodyl miał rację – powiedziała Njo Boto. – Tak się często dzieje na świecie, że ktoś za dobro odpłaca złem. I dlatego opowiedziałam wam tę bajkę.

– Oby ci Allah błogosławił i zesłał wszelką pomyślność! – zawołały z wdzięcznością dzieci.

Później nadeszły kobiety z miskami świeżo upieczonych chrząszczy i koników polnych. W innej porze roku byłyby to jedynie smakowita przekąska, ale teraz, tuż przed wielkimi deszczami, kiedy zaczął się już okres głodu, pieczone owady musiały im zastąpić południowy posiłek, bo większość rodzin miała obecnie w zapasie najwyżej kilka garści kuskusu i ryżu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Drobne przelotne deszcze padały teraz dzień w dzień. Gdy tylko się przejaśniało, Kunta i jego koledzy wybiegali przed chaty i z zaciekawieniem rozglądali się po okolicy. „Moja! – krzyczeli na widok wielobarwnych tęcz, których łuki sięgały ziemi i które zawsze wydawały się całkiem blisko. – Moja!” Ale mżawki przynosiły ze sobą również chmary owadów i ich niemiłosierne żądła szybko zmuszały dzieci do powrotu do chat.

Potem pewnej nocy spadł nagle ulewny deszcz. Ludzie kulili się z zimna w lepiankach, wsłuchując się w szum wody spływającej po strzechach, patrząc na błyskawice przecinające niebo i uspokajając przestraszone grzmotami dzieci. W przerwach między jednym oberwaniem chmury a drugim słychać było jedynie szczekanie szakali, wycie hien i rechotanie żab.

Następnej nocy znów spadł deszcz... i następnej... i następnej... i następnej... Padał tylko w nocy; zatapiał tereny położone niżej nad rzeką, zamieniał pola uprawne w bagna, a wioskę w bagno. A mimo to co rano przed śniadaniem wszyscy mężczyźni, brnąc w błocie, szli do swojego małego meczetu i błagali Allaha o jeszcze większe deszcze, całe życie wioski zależało bowiem od tego, czy w ziemię wsiąknie dość wody, zanim nadejdą upały i wysuszą każdą roślinę, dla której nie starczy wody.

W wilgotnej, mrocznej chacie, ogrzewanej ledwo tłącym się ogniskiem z patyków i krowiego łajna, stara Njo Boto opowiadała zgromadzonemu tu dzieciom o strasznych czasach, które nastały, kiedy pora deszczowa trwała za krótko. Choćby było nie wiadomo jak źle, Njo Boto zawsze pamiętała czasy, gdy było jeszcze gorzej.

Po dwóch dniach deszczu przyszło palące słońce, opowiadała. Ludzie modlili się gorąco do Allaha, tańczyli odwieczny taniec deszczu i codziennie składali w ofierze dwie kozy i wołu, jednakże wszystko, co rośnie, wysychało i umierało. Wyschły nawet wodopoje w głębi lasu, opowiadała Njo Boto, i najpierw dzikie ptactwo, a potem zwierzęta, wyczerpane pragnieniem, zaczęły przychodzić do wioskowej studni. Na krystalicznie czystym niebie co noc świeciły tysiące gwiazd, wiał chłodny wiatr i coraz więcej ludzi zapadało na zdrowiu. Było rzeczą oczywistą, że nad Juffure krążą złe duchy.

Ci, co mieli jeszcze dość sił, nie ustawali w modłach i tańcach, ale nadszedł wreszcie dzień, gdy zabito ostatnią kozę i ostatniego wołu. Mogło się здаwać, że Allah odwrócił się od Juffure. Niektórzy – starzy, słabi i chorzy – zaczęli umierać. Inni opuścili wioskę w poszukiwaniu jakiejś miejscowości, gdzie byłaby żywność i gdzie mogliby dobrowolnie stać się niewolnikami jej mieszkańców w zamian za łyżkę strawy. Pozostali stracili wszelką nadzieję i leżeli w chatkach. Właśnie wtedy Allah skierował kroki marabuta Kairaby Kuntę Kinte do ginącej z głodu wioski Juffure. Widząc tragedię jej mieszkańców, marabut ukląkł i przez pięć dni i nocy, nie śpiąc i nie jedząc, biorąc do ust jedynie kilka kropli wody, modlił się do Allaha. I piątego dnia wieczorem spadł wielki deszcz, spadł niczym powódź i uratował Juffure.

Kiedy Njo Boto skończyła opowieść, dzieci z szacunkiem spojrzały na Kuntę, który nosił imię tego znamienitego przodka, męża babki Jaisy. Już wcześniej Kunta zauważył, jak rodzice innych dzieci poważają jego babcię, i wyczuł, że ta kobieta musi być kimś ważnym, tak jak z pewnością jest kimś takim również Njo Boto.

Ulewne deszcze nadal padały co noc. Kunta widział, że dorośli najpierw brną w błocie po kostki, potem już po kolana, a w końcu pływają z miejsca na miejsce w czółnach. Słyszał, jak matka mówiła do Omoro, że wysokie wody bolongu zatopiły pola ryżowe. Zziębnięci i głodni ojcowie prawie codziennie ofiarowywali Allahowi cenne kozy i woły, naprawiali ciekące dachy, podpierali walące się lepianki i modlili się, żeby ich kurczące się zapasy pszenicy i ryżu wystarczyły do następnych zbiorów.

Kunta i jego rówieśnicy nie zwracali jednak uwagi na skurcze głodu w żołądku, myśleli przede wszystkim o zabawach w błocie,

o mocowaniu się i zjeżdżaniu na gołym tyłku z glinianych pagórków. Lecz oni też tęsknili do widoku słońca, toteż naśladując rodziców, wskazywali rękami szare niebo i krzyczeli: „Zaświeć, słońce, a zabiję dla ciebie kozę!”.

Życiodajny deszcz sprawił, że wszystko, co rośło, wyglądało świeżo i bujnie. Ptaki śpiewały wokoło. Drzewa i rośliny pyszniły się wonnym kwieciem. Lepiącą się do nóg brudną glinę co rano okrywał nowy dywan kolorowych płatków i zielonych liści, które deszcz strącił w nocy. Ale wśród tego rozpasania natury głód zaczynał coraz dotkliwiej gnębić ludzi z Juffure, ponieważ nic z bujnie rosnących plonów nie dojrzało jeszcze do zbiorów. Zarówno dorośli, jak i dzieci patrzyli pożądliwie na tysiące napęczniałych mango i owoców fłaszowca, pod których ciężarem uginały się gałęzie drzew, ale były jeszcze zielone i twarde jak kamień, więc ci, co próbowali je jeść, przypłacali to chorobą i wymiotami.

– Skóra i kości! – ubolewała nad Kuntą babka Jaisa, cmokając z niepokojem na jego widok. W gruncie rzeczy sama była równie chuda, bo wszystkie spichlerze w Juffure od dawna już świeciły pustkami. Tych kilka sztuk bydła, kóz i kur, których nie zjedzono i nie zabito na ofiarę, trzeba było utrzymać przy życiu – i żywić – żeby w przyszłym roku doczekać się ich potomstwa. Ludzie, którzy od wschodu do zachodu słońca przetrząsali okolice w poszukiwaniu żywności, zaczęli jeść gryzonie, korzonki i liście.

Mężczyźni nie chodzili nawet do lasu polować na dziką zwierzynę, jak robili to często w innych porach roku, bo i tak nie mieliby sił, żeby przydźwigać upolowane zwierzę do wioski. Plemienne tabu zabraniało Mandinkom spożywania pawianów i wszelkich małp znajdujących się tu w wielkiej obfitości; za nic nie tknęliby również leżących wszędzie wokół kurzych jaj ani wielkich zielonych żab, które uważali za trujące. Jako prawowierni muzułmanie Mandinkowie raczej by też umarli, niż skosztowali mięsa dzikich świń, których stada często przeciągały środkiem wioski, ryjąc ziemię w poszukiwaniu żywności.

Najwyższe gałęzie drzewa kapokowego w Juffure zamieszkiwały od wieków żurawie i kiedy wylęgały się pisklęta, rodzice latali przez cały dzień nad bolong i z powrotem, znosząc im złowione ryby. Korzystając ze sposobności, stare kobiety z dziećmi czekały na odpowiedni moment, biegły pod drzewo i wrzeszcząc,

obrzucali gniazdo patykami i kamieniami. W tym hałasie i zamieszaniu ryba często przelatywała obok otwartego dzioba pisklęcia, a nawet obok gniazda, i między gęstym listowiem spadała prosto na ziemię. Dzieci walczyły ze sobą o zdobycz, po czym któraś z rodzin wyprawiała ucztę. Jeżeli kamień trafił przypadkiem ledwo opierzone niezdarne pisklę, zdarzało się, że spadało z wysokiego gniazda wraz z rybą i zabijało się lub kaleczyło – wtedy kilka rodzin jadło żurawią zupę. Ale takie gratki trafiały się rzadko.

Późnym wieczorem wszyscy członkowie rodziny spotykali się w chacie i każdy dawał to, co udało mu się znaleźć – czasem, jeżeli ktoś miał szczęście, był to nawet kret albo garść tłustych larw na wieczorną zupę, do której dla smaku dodawało się dużo pieprzu i innych przypraw. Chociaż taka kolacja po części napełniała puste żołądki, nie miała jednak wartości odżywczych, mieszkańcy Juffure zaczęli więc umierać.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Coraz częściej słyhać było w wiosce wysokie zawrodoenie kobiet. Szczęśliwe były całkiem małe dzieci, które nic jeszcze nie rozumiały, bo nawet Kunta wiedział już, że oznacza to śmierć kogoś bliskiego. Zdarzało się to przeważnie po południu, gdy jeden z rolników plewujących chwasty wracał z pola, niesiony na skórze wołu przez swoich towarzyszy.

Mieszkańców wioski zaczęły atakować choroby – niektórym puchły nogi, innych trawiła gorączka, nachodziły ich silne poty i drgawki. Na rękach i nogach dzieci pojawiały się niewielkie początkowo obrzęki, które rosnąc, stawały się coraz bardziej bolesne, a później pękały i wyciekał z nich różowawy płyn, zamieniający się wkrótce w gęstą żółtą ropę, do której ściągaly roje much.

Rwący ból w dużym otwartym wrzodzie na nodze sprawił, że Kunta, biegnąc, potknął się, upadł i rozciął sobie czoło. Koledzy pomogli mu wstać, a ponieważ Binta i Omoro pracowali w polu, zaprowadzili oszołomionego i płaczącego chłopca do babki Jaisy, która już od kilku dni nie przychodziła do chaty przeznaczonej na miejsce zabaw dla dzieci.

Jaisa leżała przykryta skórą na bambusowym posłaniu i sprawiała wrażenie bardzo osłabionej; czarną twarz miała wychudzoną i zapadniętą, a ciało złane potem. Ale kiedy zobaczyła Kuntę, zerwała się na równe nogi, żeby wytrzeć mu krew z czoła. Tuląc go do siebie, kazała dzieciom przynieść trochę mrówek kelelalu, a gdy wrócili, ścisnęła mocno brzegi rany i szybko zaczęła przykładać do nich jedną mrówkę po drugiej. Rozjuszony owady głęboko wczepiały się szczękami w ciało po obu stronach rozciętego miejsca, a

wtedy Jaisa zręcznie odrywała im odwłoki, nie ruszając głów, aż wreszcie cała rana została w ten sposób zaszyta.

Babka Jaisa odesłała inne dzieci, a wnukowi kazała położyć się obok siebie na łóżku. Leżał i słuchał jej ciężkiego oddechu, kiedy przez jakiś czas odpoczywała, nic nie mówiąc. Później wskazała ręką na półkę z książkami wiszącą nad posłaniem. Wolno i cicho opowiedziała Kuncie więcej szczegółów o jego dziadku, do którego te księgi należały.

Kairaba Kunta Kinte miał trzydzieści pięć pór deszczowych i mieszkał jeszcze w swoim rodzinnym kraju, Mauretanii, kiedy jego nauczyciel, świątobliwy marabut, udzielił mu specjalnego błogosławieństwa, dzięki któremu został świętym. Dziadek Kunt kontynuował rodzinną tradycję świętych mężów, która sięgała wielu setek pór deszczowych wstecz do dawnego Mali. Jako mężczyzna czwartego kafo ubłagał starego marabuta, żeby przyjął go na ucznia, i przez następnych piętnaście pór deszczowych towarzyszył mu w orszaku jego żon, niewolników, uczniów, bydła i kóz z miejsca na miejsce, z wioski do wioski – wszędzie tam, dokąd marabut udawał się w służbie Allaha i jego wyznawców. W kurzu i w błocie, w promieniach palącego słońca i w ulewnym deszczu przez zielone doliny i piaszczyste pustynie oddalali się coraz bardziej na południe od Mauretanii.

Kiedy Kairaba Kinte został świętym, przez wiele księżyców wędrował samotnie po Mali do miejsc takich jak Kejla, Dżila, Kangaba czy Timbuktu, z pokorą padał na twarz przed słynnymi świętymi mężami i prosił ich o błogosławieństwo, którego chętnie mu udzielali. Allah kierował kroki młodego świętego coraz dalej na południe, aż ten doszedł do Gambii, gdzie najpierw zatrzymał się w wiosce Pakali N'Ding.

Dzięki nadzwyczajnym результатам, jakie odnosiły jego modlitwy, mieszkańcy wioski szybko zorientowali się, że Allah darzy młodego świętego szczególną łaską. Tam-tamy szeroko rozniosły tę wieść i już wkrótce inne wioski usiłowały zwabić go do siebie, wysyłając przez posłańców obietnice oddania mu za żony najpiękniejszych dziewcząt, podarowania niewolników, bydła i kóz. Kairaba Kunta Kinte przeniósł się więc gdzie indziej, tym razem do wioski Jiffarong, ale zrobił to jedynie na życzenie Allaha, gdyż jej mieszkańcy nie mieli mu nic do zaoferowania oprócz wdzięczności za

modlitwę. Tam właśnie usłyszał o wiosce Juffure, w której ludzie umierali z powodu suszy. I przybył w końcu do Juffure, opowiadała babcia Jaisa, gdzie modlił się bez przerwy przez pięć dni i nocy, aż wreszcie Allah zesłał wielki deszcz, który uratował wioskę.

Dowiedziawszy się o tym czynie dziadka Kunty, sam król Barry, który rządził w tej części Gambii, osobiście ofiarował młodemu świętemu na pierwszą żonę dziewicę, którą sam wybrał. Miała na imię Sireng i Kairaba Kunta Kinte miał z nią dwóch synów: Dżanneha i Saluma.

W tym punkcie opowiadania babka Jaisa usiadła na łóżku.

– A potem – powiedziała z błyszczącymi oczami – potem twój dziadek zobaczył Jaisę, kiedy tańczyła serubę! Miałam wtedy piętnaście pór deszczowych! – Uśmiechnęła się szeroko, ukazując bezzębne dziąsła. – Nie potrzeba mu było rady króla, żeby wybrać sobie następną żonę. – Spojrzała na wnuka. – I właśnie z mojego łona narodził się nasz syn, a twój ojciec, Omoro.

Tej nocy, leżąc już w chacie matki, Kunta długo nie spał, tylko rozmyślał o wszystkim, co powiedziała mu babcia Jaisa. Wiele razy słyszał historię o swoim świętym dziadku, którego modły uratowały wioskę i którego później Allah powołał do siebie. Ale nigdy dotąd nie rozumiał w pełni, że ten człowiek był ojcem jego ojca, że Omoro znał go tak, jak on zna Omoro, że babcia Jaisa była matką Omoro, tak jak Binta jest jego matką. Któregoś dnia on też znajdzie sobie kobietę podobną do Binty i ta urodzi mu syna. A ten syn z kolei...

Tak rozmyślając, Kunta przekręcił się na bok, zamknął oczy i zasnął.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tuż przed zachodem słońca, po powrocie z pola ryżowego, Binta wysyłała syna do studni po kalebasę świeżej wody, na której miała ugotować zupę ze wszystkich okruchów żywności, jakie udało się jej zdobyć. Później nalewała miskę tej zupy i szła z Kuntą do babci Jaisy. Chłopiec zauważył, że matka porusza się wolniej niż zwykle, a brzuch ma duży i ciężki.

Podczas gdy babcia protestowała słabym głosem, że już wkrótce poczuje się lepiej i sama wszystko zrobi, Binta sprzątała chatę i porządkowała jej rzeczy. Wychodzili, zostawiając babcię Jaisę wyprostowaną na łóżku nad miską zupy i kawałkiem „głodowego” chleba, który Binta piekła z żółtego proszku zebranego z suchych czarnych strąków dzikiego drzewa świętojańskiego.

Pewnej nocy Kuntę obudziło szarpanie ojca. Binta leżała na łóżku, wydając przejmujące ciche jęki, a po chacie kręciły się dwie kobiety, stara Njo Boto i przyjaciółka Binty, Džankaj Turaj. Omo-ro czym prędzej zaniósł syna do swojej chaty i tam, zastanawiając się, co to wszystko znaczy, Kunta wkrótce znów zasnął.

Rano ojciec obudził go i powiedział:

– Masz młodszego brata.

Gramoląc się z łóżka i przecierając zaspane oczy, Kunta pomyślał, że musi to być jakaś bardzo ważna nowina, skoro tak ucieszyła surowego zazwyczaj ojca. Po południu, kiedy wraz z rówieśnikami szukał czegoś do jedzenia, zawołała go Njo Boto i wzięła do chaty matki. Binta z bardzo zmęczoną twarzą siedziała na brzegu łóżka i delikatnie kołysała na kolanach niemowlę. Kunta obserwował przez chwilę pomarszczone małe, czarne stworzenie, potem

spojrzał na kobiety, które się do tego stworzenia uśmiechały, i zauważył, że duży brzuch matki nagle wyraźnie się zmniejszył. Bez słowa odwrócił się i wyszedł; stał jeszcze przez jakiś czas na zewnątrz, a potem, zamiast wrócić do przyjaciół, poszedł sam za chatę ojca, żeby przemyśleć to, co widział.

Przez następne siedem nocy nadal spał u ojca – sądził, że wszyscy byli tak zajęci noworodkiem, że nikogo nie obchodziło, gdzie podziewa się on. Zaczynał już podejrzewać, że rodzice przestali go kochać, lecz wieczorem ósmego dnia Omoro zawołał go przed chatę matki, dokąd przybyli wszyscy czujący się na siłach mieszkańcy Juffure, żeby usłyszeć wybrane dla dziecka imię, które brzmiało Lamin.

Tej nocy Kunta spał spokojny i szczęśliwy we własnym łóżku obok matki i nowo narodzonego brata. Ale już po kilku dniach, kiedy Binta doszła do siebie, zaczęła zaraz po śniadaniu, które szykowała dla Omoro i Kunty, wychodzić z dzieckiem na całe dnie do babci Jaisy. Widząc zmartwiony wyraz twarzy rodziców, chłopiec domyślał się, że babka jest bardzo chora.

Kilka dni później poszedł z kolegami nazrywać mango, które wreszcie dojrzały. Miażdżyli grubą pomarańczową skórkę o kamień, nadgryzali owoc z jednego końca, po czym wysysali soczysty, słodki miąższ. Zbierali właśnie do koszów owoce flaszowca i orzechy nerkowca, kiedy Kunta usłyszał znajomy głos lamentujący w pobliżu miejsca, gdzie stała chata babci Jaisy. Poczuł przejmujący chłód, był to bowiem głos jego matki, wzniesiony w pieśni żałobnej, którą ostatnio tak często słyszał. Inne kobiety natychmiast przyłączyły się do tej żalosnej skargi i wkrótce zawodziła już cała wioska. Kunta pędem pobiegł do chaty babki.

W ogólnym zamieszaniu dostrzegł pełną cierpienia twarz Omoro i gorzko płaczącą starą Njo Boto. Chwilę później odezwały się tam-tamy, do których wtóru dżaliba głośno wymieniał wszystkie dobre uczynki babki Jaisy w ciągu jej długiego życia w Juffure. Kunta, odrętwiały po przeżytym wstrząsie, niewidzącymi oczami patrzył na młode niezamężne dziewczęta, które szerokimi wachlarzami z plecionej trawy zamiatały kurz z ziemi – jak to było w zwyczaju w wypadku czyjejś śmierci. Na niego nikt nie zwracał uwagi.

Kiedy Binta, Njo Boto i dwie inne lamentujące kobiety weszły

do chaty, a tłum na zewnątrz upadł na kolana i pochylił głowy, Kunta wybuchnął płaczem zarówno z żalu, jak i ze strachu. Po chwili nadeszło kilku mężczyzn ze świeżo rozszczepionym dużym pniem. Kobiety wyniosły z chaty ciało owinięte od stóp do głów w białe płótno i położyły je na płaskiej powierzchni pnia.

Kunta patrzył przez łzy, jak żałobnicy, modląc się i śpiewając, obchodzą siedem razy wokoło babcię Jaisę, a alimamo śpiewnym głosem mówi, że jej dusza podróżuje teraz do Allaha i swych przodków, żeby pozostać z nimi na wieki. Aby dodać jej sił w tej podróży, młodzi nieżonaci mężczyźni ostrożnie ustawili wokół ciała bydlęce rogi napełnione świeżym popiołem.

Po jakimś czasie żałobnicy się rozeszli i na straży została Njo Boto wraz z innymi starymi kobietami; płacząc, lamentując i chwytając się za głowę, dawały upust rozpaczy. Dziewczęta przyniosły im liście palmy, największe, jakie udało się znaleźć, żeby mogły podczas czuwania osłonić się przed deszczem. A wioskowe tam-tamy przez cały czas niosły w noc opowieść o babci Jaisie.

Gdy nadszedł mglisty ranek, zgodnie z tradycją tylko mężczyźni – ci, co mogli jeszcze chodzić – wzięli udział w procesji zmierzającej na miejsce wiecznego spoczynku. Cmentarz był niedaleko wioski, lecz przychodzono tu tylko z okazji pogrzebów, gdyż Mandinkowie czuli pełen lęku respekt przed duchami przodków. Za ludźmi dźwigającymi pień z babcią Jaisą szedł Omoro, niosąc małego Lamina i prowadząc za rękę Kuntę, który był zbyt przerażony, żeby płakać. Za nimi postępowali inni mężczyźni z wioski. Owinięte białym płótnem, sztywne ciało spuszczone do świeżo wykopanego grobu i położono na nim gęsto plecioną trzciniową matę. Następną warstwę stanowiły cierniste krzewy, które miały zabezpieczać zwłoki przed hienami, a później resztę grobu ciasno ubito kamieniami i świeżą ziemią.

Przez wiele następnych dni Kunta prawie nie jadł i nie spał, nie chciał też bawić się z kolegami. Był tak przygnębiony, że pewnego wieczoru Omoro wziął syna do siebie, usiadł z nim na łóżku i starał się pocieszyć go w smutku.

Przemawiając niespotykanym u niego miękkiem i łagodnym głosem, powiedział chłopcu, że w każdej wiosce żyją trzy rodzaje ludzi. Pierwszy to ludzie, których wokoło widzimy, gdy chodzą, jedzą, śpią i pracują. Drugi to przodkowie, do których przyłączyła

się teraz także babcia Jaisa.

- A ten trzeci rodzaj? – zapytał Kunta.
- To ci, co czekają, żeby się urodzić – odparł ojciec.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Pora deszczowa skończyła się i powietrze między jasnym błękitem nieba a wilgotną ziemią było przesycone zapachem dzikich kwiatów i owoców. Ranki rozbrzmiewały dźwiękiem tłuczonego przez kobiety prosa, pszenicy na kuskus i orzeszków ziemnych, które weszły wcześniej od innych zasiewów, z ziaren pozostałych w ziemi jeszcze z poprzednich zbiorów. Mężczyźni polowali i przynosili do wioski dorodne antylopy; ich mięsem dzielono się, a ściągnięte skóry wyprawiano. Kobiety pracowicie zbierały dojrzałe czerwone jagody mangkano, otrząsając je z krzewów na leżący pod spodem kawał płótna, potem suszyły je w słońcu i tłukły w moździerzach, żeby oddzielić smakowitą mączkę futo od nasion. Nic się nie marnowało. Nasiona, wymoczone i zagotowane z tłuczonym prosem, tworzyły słodkawy kleik, który podawano na śniadanie; Kunta i inni chętnie go jedli, bo ta sezonowa potrawa stanowiła miłą odmianę w monotonnym jadłospisie, zastępując codzienny poranny kuskus.

W miarę jak z dnia na dzień przybywało żywności, w wioskę Juffure wstępowało nowe życie, co widać było gołym okiem. Mężczyźni sprężystym krokiem przemierzali przestrzeń dzielącą pola od wioski i z dumą nadzorowali obfite plony, które już wkrótce miały być gotowe do zbiorów. Wezbrana rzeka opadała teraz gwałtownie, kobiety codziennie wiosłowały do faro i wrywały ostatnie chwasty pomiędzy wysokich zielonych rzędów ryżu.

Wioska znów rozbrzmiewała krzykami i śmiechem dzieci, które po długim okresie głodu powróciły do swoich zabaw. Żołądki miały pełne, rany się zasklepiły, strupy zaczęły już odpadać,

toteż dzieci biegały i swawoliły jak szalone. Chwytały na przykład kilka skarabeuszy, ustawiały je w szeregu i głośno dopingowały najszybszego, żeby przekroczył linię koła narysowanego patykiem na piasku. Kiedy indziej Kunta i Sitafa Silla, jego najlepszy przyjaciel, mieszkający w sąsiedniej chacie, robili najazd na wysoki kopicz ziemi i wygrzebywali z niego żyjące tam ślepe, bezskrzydłe termyty: tysiącami wylęgały na powierzchnię i przerażone, rozlażyły się we wszystkie strony.

Czasem chłopcy wykurzali z kryjówek małe naziemne wiewiórki i zapędzali je w krzaki. Ale najbardziej lubili z krzykiem ciskać kamieniami w stada brązowych ogoniastych małp, a te nierzadko odrzucały im je z powrotem, po czym jednym skokiem wzbijały się na najwyższe gałęzie, do swoich wrzeszczących braci. I oczywiście chłopcy codziennie ze sobą walczyli – mocowali się, obalali na ziemię, tarzali w kurzu, gramolili na kolana, wstawali i zaczynali wszystko od początku. Każdy z nich marzył o tym, żeby zostać mistrzem zapasów i podczas święta żniw reprezentować Juffure w walkach z zapaśnikami z innych wsi.

Dorośli przechodzący w pobliżu dzieci udawali, że nie widzą i nie słyszą, jak Sitafa, Kunta i pozostali chłopcy z ich kafo mruczą, ryczą i chrząkają, naśladując lwy, słonie i dziki, a dziewczynki bawią się lalkami i „gotują” kuskus, odgrywając role matek i żon. Lecz nawet pośród najlepszej zabawy dzieci nigdy nie zapomniały okazywać dorosłym szacunku, jaki zgodnie z naukami matek winne były starszym. Patrząc im w oczy, pytały uprzejmie: „Kerabe?” (Spokój?). A dorośli odpowiadali: „Kera dorong” (Zupełny spokój). A jeżeli dorosły wyciągnął rękę, wszystkie dzieci po kolei ścisnęły ją w obu dłoniach i stawały z rękami złożonymi na pierśsiach, czekając, aż on odejdzie.

Kunta był wychowywany w domu bardzo surowo. Czasem miał wrażenie, że na każdy jego ruch matka reaguje gniewnym pstryknięciem palców – jeżeli już nie burą i porządnym laniem. Podczas posiłków wolno mu było patrzeć tylko na to, co je, w przeciwnym razie obrywał po uchu. I jeżeli po całym dniu zabawy przed powrotem do chaty nie zmył z siebie do ostatka najmniejszego śladu brudu, Binta brała szorstką gąbkę z wyschniętych łodyg roślin oraz kawałek mydła robionego domowym sposobem i szorowała Kuntę tak energicznie, jakby chciała obedrzeć go ze skóry.

Wystarczyło, że wlepił wzrok w któregoś z rodziców albo w innego dorosłego, a zaraz dostawał klapsa, podobnie jak wtedy, gdy popełniał równie poważne wykroczenie: przerywał starszym rozmowę. Nie do pomyslenia było także, by miał minąć się z prawdą – ale że nie widział żadnych powodów do kłamstw, nigdy się do nich nie posuwał.

Chociaż Binta na pozór tego nie dostrzegała, jej syn naprawdę usilnie starał się być posłuszny i przebywając wśród rówieśników, wkrótce zaczął stosować nauki odbierane w domu. Kiedy wybuchwały między nimi kłótnie – co zdarzało się często – prowadzące nierzadko do ostrej wymiany zdań i pstrykania palcami, Kunta odwracał się i odchodził, dając tym dowód poczucia godności i opamiętania, które to cechy, jak uczyła go matka, plemię Mandinków ceniło nade wszystko.

Mimo to prawie co wieczór obrywał cięgi za to, że dokuczał młodszemu bratu, na przykład go straszył: warczał groźnie albo stawał na czworakach, przewracał oczami i uderzał głośno dłońmi o ziemię, naśladując pawiana.

– Zawołam tubaba! – ostrzegała go Binta, kiedy doprowadzał ją do ostateczności.

Była to dla Kunty największa groźba; babcie często mówiły dzieciom o owłosionych, czerwonolitych niesamowitych białych ludziach, którzy przypływają na wielkich czółnach i wykradają mieszkańców wioski.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).